

Stanisław Mikke

Być adwokatem

Palestra 37/3-4(423-424), 43-45

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Być adwokatem

W styczniu tego roku zostałem zaproszony wraz z sędzią Sądu Najwyższego do wzięcia udziału w dyskusji na temat etyki zawodów prawniczych. Gdy zaczął się zbliżać termin konfrontacji z nieznaną, wiadomo jednak, że środowiskową publicznością, zintensyfikowałem przygotowania. Była to dobra lekcja pokory. Żyjąc tematem, w założeniu kilkunastominutowego wystąpienia, zagłębiając się w tę problematykę, natrafiałem na coraz to nowe problemy. A miałem przecież mówić, jak się wydawało o rzeczach oczywistych, takich, których adwokaci tłumaczyć sobie nie muszą.

W rozmowach z kolegami upewniałem się, że poglądy na wiele kwestii są bardzo różne, często rozbieżne. Nie było też jednomyślności wśród sędziów dyscyplinarnych i rzeczników. Zadałem pytania innym – nie prawnikom również. I zarysował się kształt tego, o czym powinienem mówić.

Przyszliśmy z sędzią stosownie wcześniej. Pusta sala. Organizatorka zapewniała nas, że nie ma powodów do niepokoju. Miałem odmienne przeżycia. Niedobre. Zaledwie kilkaset metrów dalej, w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, na tę samą godzinę zapowiedziano

wiec z udziałem panów Kaczyńskiego, Macierewicza, Parysa. Nie czekaliśmy długo na odpowiedź, czy ów wiec będzie konkurencją dla nas. Wkrótce wiedzieliśmy, że na frekwencję ponad pięciu słuchaczy i dyskutantów nie możemy liczyć. Spotkanie nie odbyło się.

W nowej sytuacji poszliśmy na Uniwersytet. A nuż aura zniechęcała tego dnia do udziału w zgromadzeniach? Chcieliśmy się przekonać naocznie. Przekonaliśmy się. Warunki biometeorologiczne musiały zdecydowanie sprzyjać zgromadzeniom. Bo na terenie uczelni kłębiły się tłumy. I nie wiem doprawdy, jakie okulary należało założyć, aby dostrzec tam „kilkusetosobową grupę, przede wszystkim starszych wiekiem ludzi”, jak to później podały mass-media.

Choć być może to jakiś temat, nie zamierzam tutaj rozważać, czy istniała zależność między zainteresowaniem politykami a absencją na spotkaniu o etyce zawodów prawniczych.

W trakcie przygotowań do spotkania „nabrzmiałem” problemami etyki adwokackiej i stąd zrodziła się potrzeba podzielenia się niektórymi pytaniami. Które, jak sądzę, i my powinniśmy sobie często stawiać. Właśnie

dlatego, że tak trudno o jednoznaczne odpowiedzi.

Od razu zastrzegam – nie jest moją ambicją formułowanie zasad. To raczej próba postawienia pewnych tez do dyskusji. Chyba bardziej potrzebnej dziś, niż kilka czy kilkanaście lat wcześniej. Nie ma co ukrywać – w ostatnim okresie traciliśmy dużo w oczach społeczeństwa z przyczyn jakby pozaprocesowych. A nadchodzą – jak należy przypuszczać – czasy procesów, które będą bulwersować społeczeństwo. Udział adwokatów będzie w najrozmaitszy sposób komentowany i odbierany. Musimy zatem zadbać o to, by rola adwokata stała się dla społeczeństwa bardziej zrozumiała.

Mam świadomość pewnego niebezpieczeństwa, decyduję się bowiem zabrać głos w sferze delikatnej, drażliwej i dotychczas będącej jakby wyłączną domeną nielicznych z areopagu palestry. Czas jednak na szerszą wymianę poglądów. I dobrze byłoby, żeby doszło do niej na łamach naszego pisma. Warto chyba dokonać przeglądu kanonu i przypomnieć niektóre wartości. Przede wszystkim zaś istnieje konieczność mówienia o naszych sprawach bez wygodnych eufemizmów, zerwania ze stylistyką niedomówień, która zaciera ostrość problemów.

Spójrzmy na artykuł 28 pkt 1 prawa o adwokaturze. Adwokat – zgodnie z zapisem – może odmówić udzielenia pomocy prawnej tylko z ważnych powodów. O tych powodach należy, jak chce ustawodawca, poinformować zainteresowanego, a wątpliwości dotyczące udzielenia lub odmowy udzielenia pomocy prawnej rozstrzyga okręgowa rada adwokacka, w wypadkach zaś nie cierpiących zwłoki – dziekan.

Ta regulacja niewiele wyjaśnia, a tylko sygnalizuje problem. Niebagatelny, z rozlicznymi konsekwencjami. Wszyscy dobrze wiemy, o co chodzi. Dylematy ilustrują najlepiej aktualne

przykłady. Czy adwokat, do którego zwróci się pan Zarakowski, Andrejew, Humer, lub ktoś jeszcze inny, stojący pod podobnymi jak te osoby zarzutami, ma prawo odmówić obrony lub wnieść o zwolnienie z obowiązku obrony z urzędu powołując się na własne poglądy polityczne i przeciwstawianie się mniej albo bardziej czynne komunistycznemu reżimowi? Czy z tak uzasadnioną odmową powinni się liczyć na przykład panowie Kiszczak i Jaruzelski?

Inny wypadek. Kradzież i zbezszeczenie przedmiotu kultu. Wolno czy nie wolno powiedzieć „nie”, proszącemu o obronę oskarżonemu, tłumacząc odmowę uczuciami religijnymi?

Kolejna, konkretna sprawa, która wywołała takie pytania, to proces oskarżonych o zabójstwo księdza Popieluszki. Kto ma prawo, a kto może – obowiązek niepodejmowania obrony? Dotyczy to także i innych spraw, które ściągają powszechną uwagę i budzą żywą niechęć do postawionych w stan podejrzenia lub oskarżenia. Choćby o takie afery jak FOZZ i Art-B. Przykłady, oczywiście, można by mnożyć. Przyszłość przyniesie nowe, wszystko na to wskazuje. Dodajmy zatem jeszcze jedną kategorię spraw, które będą ostro polaryzować społeczeństwo. Do nich wypadnie zaliczyć z pewnością, jeśli do niego dojdzie, proces umownie określany jako Kaczyński – Wachowski.

Norman Mailer, głośny amerykański pisarz, w książce „Pieśń kata”, o której pisałem w poprzednim numerze, wyraża w pewnym miejscu taką myśl: „Niewiele osób nadawałoby się do obrony, gdyby adwokat do wszystkiego przykładał miarę własnych przekonań”.

Pod tymi słowami podpisze się, jak sądzę, chętnie każdy adwokat. Pojawiają się tu jednak pewne kwestie, które wyartykułował Roman Łyczy-

wiek w pracy wydanej w 1989 r. w Bibliotece „Palestry” pt. „Adwokat jako obrońca w polskim procesie karnym” pisząc m.in., że należy uznać prawo określonego obrońcy do odmowy przyjęcia sprawy, gdy „obrona ze szczególnych osobistych względów jest dla danego obrońcy trudną do przyjęcia.” Dalej wielce zasłużony adwokat precyzuje: „Jeżeliby więc w szczególności obrona łączyła się w jakiś dotkliwy sposób z własnymi przeżyciami obrońcy, co uniemożliwiałoby mu spokojne i beznamiętne wypełnienie obowiązku, to ma prawo odmówić przyjęcia obrony”. I dodaje, że wspomnienia lat okupacyjnych w niejednym wypadku usprawiedliwiały taką decyzję.

Czyż pogląd ten, chociaż bardzo atrakcyjny, powinien zyskać aprobatę? Czy odwołanie się w gruncie rzeczy do subiektywnych przesłanek odmowy, nie prowadzi do sytuacji o niebezpiecznych skutkach? Przy takim uzasadnieniu odmowy dokonuje się przecież oceny niedoszłego mocodawcy, wydaje osąd, nierzadko przesądza winę nie tylko na swój użytek. Sytuacja ta pozwala też powiedzieć: ten podjął się obrony, widać jego stosunek do sprawy jest taki, że może bronić. Co nie świadczy o nim dobrze. Bowiem inni adwokaci mający odczucia zbieżne z odczuciami większości, odmawiali. Wydać się może, iż to nieco akademickie rozważania. Ale idąc tym tropem można wyobrazić sobie i taką sytuację, w której oskarżony nie znajdzie obrońcy, albowiem wszyscy adwokaci zasłonią się siłą własnych doznań uniemożliwiająca podjęcie obrony.

Ktoś powie, że przykłady ekstremalne źle służą budowaniu ogólnych zasad i rzecz całą należy rozpatrywać w szerszej perspektywie. Że najpierw należałoby zastanowić się nad możliwością wyznaczenia uniwersalnego kryterium prawa do odmowy.

Pozostańmy jednak dziś przy kaźni i to szczególnej. Minister Stankiewicz, bodaj już były doradca prezydenta Jelcyna, nie wykluczył ekstradycji osób odpowiedzialnych za zbrodnię katyńską. Później zapowiedział przygotowania do postawienia w stan oskarżenia Piotra Karpowicza Soprunienki – szefa Zarządu NKWD d/s Jeńców Wojennych i Osób Internowanych. Byłem w Charkowie i w Miednoje. Uczestniczyłem w ekshumacji zwłok ofiar tamtej zbrodni. Widziałem i przeżyłem to, co nie było udziałem żadnego adwokata w moim, powojennym pokoleniu.

Gdyby doszło do procesu w Polsce, czy miałbym obowiązek bronić Soprunienki, jeżeli ktoś zwróciłby się z takim zleceniem lub jeśli sąd wyznałby mnie obrońcą z urzędu?

Zadałem sobie to pytanie. Rozmawiałem z innymi. W tym również z wybitnym pisarzem, w którego twórczości problematyka acz historyczna, ale związana z odpowiedzialnością moralną osób wymiaru sprawiedliwości jest często obecna. Odpowiedź pisarza była zdecydowana: „Tak, to byłby twój święty obowiązek”. Przypomniał proces Ericha Kocha, który obserwował. Przypomniał jego obrońcę. Jerzy Śliwowski nie przeżył lekko okupacji. Bronił Kocha godnie. „Wykazując – cytuję pisarza – najwyższą odpowiedzialność moralną. I zdając najwyższy egzamin adwokacki”. Ale to nie koniec, usłyszałem od mego rozmówcy coś jeszcze: „To właśnie ty powinienes się znaleźć wśród tych, którzy zechcą spełnić obowiązek obrony Soprunienki. A jeżeli odmówiłbyś, powinno być to równoznaczne z rezygnacją z zawodu”.

Chociaż proces Soprunienki w Polsce jest więcej niż mało prawdopodobny, słowa pisarza wciąż do mnie wracają.